

Filizanka po kolejnej kawie jest pusta. Przed chwilą wysączyłam ostatnie kropelki. Przydałaby się następna, ale nie mam siły wstać i zaparzyć. Od śniadania siedzę przy biurku i piszę. Pomału zaczynam przyrastać. Nie pomyślałam nawet o obiedzie, nie czuję głodu, tylko coraz większe zmęczenie. Powieki chwilami odmawiają posłuszeństwa, oczy zachodzą mgłą, a złośliwy zegar uparcie odmierza czas. Z trudem utrzymuję głowę we właściwej pozycji. Jest ciężka, jakby wypełniona ołowiem. Dźwięczne "bim bom", stojącego w kącie stróża czasu, wyrывa mnie z odrętwienia.

- Cicho, bestio, nie pędź tak - mruczę, posyłając nienawistne spojrzenie złoconej tarczy. - Nie zdążę, na miły Bóg, nie zdążę. Co ja plotę? - gwałtownie potrząsam głową. - Muszę zdążyć, choćby nie wiem co, to muszę - dopowiadam.

Rozwichrzone pasma opadają na czoło, przesłaniając pole widzenia. Wczepiam palce w rudy gąszcz i zdecydowanym ruchem zaczesuję do tyłu.

- Jeszcze kudły uparły się przeszkadzać - rzucam przed siebie. - Cholera, one też już mają dość, niemyte, nieczesane. Biedne włosy, biedna ja, wszystko jest do dupy - zżymam się, delikatnie głaszcząc niesforne kosmyki. - Ja chyba fiksuję? - Wybucham nerwowym śmiechem. - Do roboty, kobieto - rzucam hasło. Przecieram oczy i spokojnie pochylam się nad klawiaturą. Palce znów łapią rytm i bezbłędnie wystukują delikatne staccato na białych klawiszach. Czarne robaczki żłobią równiutkie koleiny w jasnej płaszczyźnie.

- Jest dobrze - pomrukuję. - Może zdążę, żeby tylko ponownie nie dorwała mnie ta obezwładniająca niemoc.

Zegar wydzwania kolejne kuranty. Po każdym unoszę głowę i prostuję ramiona. Dłonie z klawiatury wędrują na kark. Tam teraz są bardziej potrzebne. Kilka zwinnych, mocnych ruchów, lekki masaż i już jest lepiej. Teraz mogą powrócić do pozycji wyjściowej. Znowu cichutki stukot mąci ciszę nocy. Lubię te chwile, kiedy palce nadają ostatni kształt przelanym na papier myślom. Oglądam każde słowo, literkę, poprawiam, formuję i napawam się widokiem równiutko ukształtowanych wersów. Jestem perfekcjonistką w przepisywaniu i dlatego od lat mam pełne ręce roboty. Tylko cholernie nie lubię pośpiechu, bo to mnie obezwładnia, czuję się osaczona i ubezwłasnowolniona czasem. Tak, jak teraz. Napięte terminy, presja odbierają mi całą przyjemność pisanja. Dlatego nie żyję za pan brat z zegarami. Nigdy nie lubiłam czasomierzy, nawet nie mam takiego na rękę. Jedyne zegary jakie uznaję, to te duże pokojowe - po rodzicach, czujny jak cerber i dręczący tykaniem od rana do nocy.

Wczytuję się w treść przepisywanego tekstu. Na chwilę nieruchomieję, tylko gałki oczne poruszają się w przyspieszonym tempie.

- Cholera! - z ust wylatuje przekleństwo. - To przecież o mnie, to scena żywcem wyjęta z mojego życia. Wracam do początku akapitu.

„Na peryferiach miasta, w przytulnym pensjonacie, szpakowaty mężczyzna sący drinka w towarzystwie szalowej blondynki.

- Muszę już zmykać, skarbie - mówi z przepaszającym uśmiechem, podnosząc się z siedziska. Pochylony, całuje ją w czoło. - Jutro się zobaczymy, będzie co świętować, maleńka.

Blondynka wstaje, wspina się na palce, podstawiając wydatne usta do pocałunku. Mężczyzna wpija się w nie łapczywie.

- Ty mnie wykończysz - słychać gorący szept. - Nie masz litości dla mojej żony.

- Dla żony czy dla ciebie? - pyta zalotnie kobieta, przeciągając się kocim ruchem. - Żona jest w domu, nic o nas nie wie, to o co chodzi? Nie rozczulaj się nad nią, wiesz, że jestem zazdrosna.

Mężczyzna, oswobadzając się z objęć kochanki, zakłada marynarkę i, z ręką na klawce, oznajmia:

- Dziecinko, żona przepisuje moją najnowszą książkę, na jutro muszę ją przekazać wydawcy, to ostatni termin.

- Aaa, to o to chodzi? - mówi blond kociak, poprawiając kusą spódniczkę. - Czyli... jutro balujemy. Super! - wykrzykuje, klaszcząc w ręce. - Jesteś cudowny i jaki sprytny. Jednak żona do czegoś się przydaje, prawda, Misiu? - Uśmiechając się ironicznie, dodaje: - To mi się podoba. Żona przy komputerze, a ty tylko dla mnie, Cudownie, kochany”.

- Nie, to niemożliwe! - wykrzykuję. - To tylko fikcja literacka, chociaż... pasuje jak ulał. Trochę, tak, jakby o mnie... Żona przepisująca książkę, to przecież ja!

Czytam ponownie i wyobrażenia zaczyna działać. Wracam do wcześniejszych stron. Coraz więcej zbieżności, podobnych szczegółów. No tak, myślę, przepisywałam mechanicznie, zwracając jedynie uwagę na błędy językowe, interpunkcję, a nie na treść. Od dawna to robię, nie tylko dla męża i wkradła się rutyna. Działam jak automat. Stałam się maszyną do przepisywania, z ograniczoną percepcją.

Szybka decyzja.

- Przeczytam całość od początku, chociaż pobieżnie.

Wiem, że czas nie poczeka, ale muszę, bo jeśli nie sprawdzę, to mnie zeżre niepewność. Zagłębiam się w treść.

Czytam i po paru kwestiach, moje oczy robią się jak wielkie znaki zapytania, czasem wykrzykniki. Każde zdanie, dialogi, opisy utwierdzają mnie w przeświadczeniu, że mój mąż zżyna nasze życie. Wybiera co smaczniejsze kaski i wplata w treść. Tylko co z tą blondyną? Z tym gorącym romansem? Czy to też prawda, czy tylko zabieg literacki dla podniesienia atrakcyjności fabuły? Na chwilę odsuwam rękopis. Zastanawiam się, analizuję, ale nic, co potwierdziłoby prawdziwość moich przypuszczeń, nie przychodzi do głowy.

Wprawdzie od lat żyjemy jak przysłowiowy pies z kotem, klócimy się, niekiedy bardzo ostro, obrażamy i milczymy, a potem godzimy, jak to w małżeństwie, ale to o niczym jeszcze nie świadczy. Mogłoby być lepiej, tak jak na początku, jednak nie myślimy o rozstaniu, bo przywykliśmy do siebie, mamy wspólny dom, pomagamy sobie, to znaczy ja pomagam mężowi, bo on zarabia pieniądze w swojej firmie i od czasu do czasu pisze książki, a ja, żona niepracująca na jego życzenie, przepisując teksty, dokładam się do sukcesów. Mąż często wyjeżdża, późno wraca, niekiedy zostaje gdzieś na noc, bo taką ma pracę. Znam jego pracowników, problemy, styl pracy, ale żeby był zdolny do zdrady? Chyba nie, nigdy nic nie zauważyłam. Zresztą, w jego wieku? Już dawno przestał być byczkiem w sypialni. To tylko fikcja, uspokajam się i wracam do pisania.

Wybijają północ. „Godzina duchów”, przypomina mi się powiedzenie babki, którym zaganiała mnie do łóżka, gdy chciałam czytać w nocy.

Moje zmęczenie sięga zenitu, lecz piszę dalej. Coraz częściej wyskakują literówki, co mnie cholernie rozprasza i irytuje. Przerywam pisanie. Nie widzę już znaków, tekst rozplywa się, palce tracą kontakt z klawiaturą.

- Wybacz, mój mężu, ja już padam - mówię w pustkę, podnosząc się z fotela. - Nie daję rady. Cały dzień klepania, bez jedzenia, odpoczynku, to ponad moje siły. I tak, od tygodnia, dzień po dniu.

Gaszę komputer i powoli wychodzę. Zatrzymuję się w progu.

- Cholera, ale obiecałam, on tak liczy na mnie. Jest pewien, że do rana skończę - mruczę pod nosem. - Obiecałam i nie mogę zawieść, to dla niego bardzo ważne. Jezu... dopomóż?! - Mój wzrok spoczywa na krucyfiksie, wiszącym nad drzwiami.

Nagle słyszę chrobot klucza w zamku. Sztywnieję.

- Jasny gwint, to on - mówię strwożona. - Będzie wściekły, to wiem na pewno. Żeby tylko nie był drinknięty.

- Witaj, mamuska! - woła od progu. Przechodząc do pokoju, zdejmuje marynarkę i machinalnie cmoka

mnie w policzek. - I co, już koniec? - pyta z rozlanym uśmiechem.

Kulę ramiona jak wylęknione dziecko.

- Nie, jeszcze nie koniec. Nie dałam rady. Może położę się na godzinkę, a potem szybko skończę, co? - odpowiadam z poczuciem winy w głosie. - Czemu tak późno i po alkoholu? - zadaję cicho banalne pytanie, chcąc go zagadać.

Nie mówi nic, tylko wzrusza ramionami i włącza komputer. Przegląda tekst i już wiem, co będzie za chwilę. Nie myślę się.

- No, cudownie! Pięknie, bardzo pięknie! - Z każdym słowem głos męża przybiera na sile, a spojrzenie nie wróży nic dobrego. - Wiedziałaś, że to dla mnie ostatni dzwonek! Obiecałaś! Prosiłem, tłumaczyłem, a ty co?! Zobacz, która godzina! Już dawno minęła północ! - Potrząsając dłonią, wskazuje na zegar. Nakręca się coraz bardziej. - No, nie! - Uderza pięścią w stół. - Jak mogłaś mi to zrobić?! Kurwa! Ja to muszę mieć na jutro. Rozumiesz, kobieto?!

- Kochanie, jestem potwornie zmęczona - mówię powoli, błagalnie patrząc w jego roziskrzone oczy - od śniadania nic nie jadłam - skamle, jak psiak bojący się razów. - Jestem tylko o kawie, ja po prostu padam. I nagle wzbiera we mnie złość.

- Ja już rzygam tym tekstem! - wykrzykuję bez zastanowienia lecz przestraszona swoją odwagą, zakrywam dłonią usta. - Przepraszam - dukam przez rozcapierzone palce - to nie tak, źle powiedziałam... Mąż robi krok do przodu, wpijając we mnie szparki oczu. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, to już leżałabym martwa. Nic się jednak nie dzieje. Stoimy naprzeciw siebie, jak ofiara i oprawca.

- Myślisz, że ja cały dzień byczyłem się, balowałem?! - zaczyna demonstracyjnie. - Tyram jak wół, wracam z ważnego spotkania, głodny, zmęczony, a ty siedzisz w domu na dupie i klikasz sobie w klawisze. Taki to wielki wyczyn? Nie musisz chodzić do pracy, wstawać na czas, wyjeżdżać, masz wszystko, czego dusza zapragnie pod ręką, na telefon, to chociaż staraj się mnie wspierać, zapracuj uczciwie na swoje wygody - zasapany, kończy dobrze mi już znaną gadkę. O rany, to kwestia z jego książki, mignęło w pamięci.

- Nie podnoś głosu, proszę, bo głowa mi pęka - mówię cicho i wracam do pokoju. - Ja muszę się zdrzemnąć, muszę. Zrozum wreszcie, nie jestem samonapędzającą się maszyną, tylko żywą istotą i podobno twoją żoną, nie wyrobnikiem. - Opadam na kanapę i zwijam się w kłębek. Widzę spod wpeł przymkniętych powiek jego rozwścieczoną twarz. Chyba mnie nie uderzy, zastanawiam się. Już raz to zrobił. A, niech uderzy, jest mi wszystko jedno, ja chcę spać. Zrezygnowana, wtulam twarz w poduszkę. Nie patrząc na niego, mówię grzecznie, ale stanowczo:

- Wstanę za godzinę. Już mi zostało niedużo, zdążę. Nastaw mi swój budzik.

Nie odpowiada. Unoszę lekko powieki. Widzę jak zaciska pięści, chwila wahnięcia... i gwałtownie robiąc w tył zwrot, wychodzi z pokoju. Za moment wraca z budzikiem. Energicznie stawia go na stoliku.

- Idę spać - syczy przez zęby. - Tylko, kurwa, wstań!

Zaciskam powieki. Powoli odpływam. Przez senną mgłę dochodzą jego pomruki i odgłos zamykanych drzwi.

Terkotanie zrywa mnie na nogi. Zapalam światło. Na zegarze druga. Czuję się kompletnie rozbita. W głowie stukają tysiące malutkich młoteczków, skronie pulsują.

- Kawa - to pierwsza myśl.

Wlokę się do łazienki, obmywam twarz zimną wodą, a potem do kuchni. Nastawiam ekspres. Czekać, otwieram lodówkę.

- Coś powinnam przegryźć - mruczę i wydaję plaster żółtego sera.

Zjadam bez chleba. Nie mam siły, by wziąć do ręki nóż i ukroić kromkę. Kawa już gotowa. Niosę dzbanek do pokoju. Przydałoby się umyć filiżankę, zauważam.

- A może wziąć czystą? - waham się.

Rezygnuję, bo musiałabym znowu pójść do kuchni, więc nalewam smolisty płyn do stojącej na biurku. Wypijam parę łyków i włączam komputer. Powoli wybudzam się.

cd...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Miranda, dodano 14.08.2011 08:59

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.